

# Andrzej Zawada

---

## Glosy do Leksykonu miasta Wielunia

---

Rocznik Wieluński 8, 193-201

---

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Andrzej Zawada*

## GŁOSY DO LEKSYKONU MIASTA WIELUNIA

*Leksykon miasta Wielunia* od półtora roku nie opuszcza mego podręcznego stolika, na którym znajdują się książki aktualnie czytane. Podczytuję go po kolei i na wrywki, odświeżam pamięć, koryguję ją, uzupełniam niewiedzę. Spaceruję po współczesnym Wieluniu i zarazem wędruję po mieście dzieciństwa i po historii. Widzę minione krajobrazy i przed moimi oczyma pojawiają się ludzie, których znałem, widywałem albo o których tylko słyszałem. Krajobrazy i miejsca mijane na co dzień nie robią na nas większego wrażenia. Są trochę jak grzbiety książek w bibliotece, kiedy omiatamy je nieuważnym spojrzeniem. Milczą. Książkę trzeba dostrzec, wyjąć z półki, otworzyć – dopiero wtedy może rozpocząć się dialog. Widok, miejsce, jakiś obiekt czy tylko architektoniczny detal też są tekstami, w nich również zapisany jest jakiś przekaz. Zacznie mówić wtedy, kiedy z uwagą zatrzymamy się przed nimi albo kiedy zatrzyma się na nich wyszukiwarka naszej pamięci.

Każda encyklopedia jest swego rodzaju scenariuszem, który trzeba inscenizować, wprawić w ruch, ożywić. Hasło encyklopedyczne przypomina też zapis nutowy – to jeszcze nie muzyka. Wykonawcą jest czytelnik. Lektura otwiera w pamięci także te stronicie, których w rzeczywistej publikacji nie ma, w naszej świadomości „odczytują się” również hasła nienapisane, te, których *Leksykon* nie zawiera. Nie zawiera ich jedynie w materialnym, fizycznym sensie, gdyż nie istnieją w książce jako odrębne teksty. W hasłach istniejących pojawiają się bowiem dziesiątki, setki nazwisk, faktów, epizodów, dokumentów, których w encyklopedycznej poetyce zwięzłej informacji nie sposób omówić, opisać, rozwinąć. Dobrze wiemy, że pełne opisanie przeszłości nie jest możliwe. Każdy z nas ma inną wiedzę, inne doświadczenia, inne przeżycia; pamięć jest indywidualna.

Wiedza, którą nazywamy historią to swego rodzaju wersja uzgodniona, umowna. Historia to projekcja skierowana wstecz. Zmienia się wraz ze świadomością następujących po sobie pokoleń.

Nie od dzisiaj wiemy, że obraz przeszłości jest obrazem naszej niewiedzy i niedostatków wnikliwości. Trzeba pogodzić się z tym i przyznawać się do tego, że przeszłość jest kreacją naszej zbiorowej świadomości, mieszanką świadomości i nieświadomości, tym bardziej przystępną i użyteczną, im większy udział w tej kreacji miały nasza niewiedza, umysłowe lenistwo i polityczna koniunktura.

Encyklopedie miast należą do chętnie czytanych lektur. Dostrzegamy w nich setki, a raczej tysiące skondensowanych opowieści – każda z nich mogłaby rozwinąć się w osobny życiorys, w samodzielną fabułę, odrębną przypowieść. W tym, że książki o dziejach naszych stron rodzinnych fascynują nas szczególnie, nie ma nic niezwykłego – chcemy wiedzieć jak najwięcej o miejscach, które nas kształtują, które nas tworzą i wyposażają. Opowieści o miastach, wioskach, regionach, krainach są zarazem opowieściami o tworzeniu się indywidualnej tożsamości kulturowej. Opracowania o dziejach rodzinnych stron, nawet najbardziej zwięzłe prace encyklopedyczne, tak się właśnie czyta – jako domowe opowieści.

W ten sposób i ja czytam *Leksykon miasta Wielunia*. Czytam go jako mój prywatny, osobisty leksykon, a na jego marginesach dopisuję swoje uwagi, dopowiedzenia i pytania. Każdy z nas nosi w sobie swój własny leksykon małej ojczyzny.

Na przykład bardzo ciekawe i pouczające jest hasło:

### **Biblioteki,**

w którym możemy przeczytać, że wielką grupę cennych inkunabułów i innych starych druków, liczącą ponad dwieście tomów, zabrał w 1819 roku z wieluńskich bibliotek Samuel Bogumił Linde, by umieścić je w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Autor pierwszego słownika języka polskiego jak mało kto musiał zdawać sobie sprawę z wagi tego zbioru. Czy księgozbiór wieluński w Bibliotece Narodowej przetrwał drugą wojnę światową – nie wiem. W roku 1866 zaginął liczący ponad półtora tysiąca tytułów księgozbiór rozwiązanej po powstaniu styczniowym Wieluńskiej Szkoły Powiatowej, założonej w końcu XVII wieku przez zakon pijarów. Prawie tysiąc woluminów z klasztornej biblioteki ojców augustianów skonfiskowały w 1893 roku władze carskie. Po tych kolekcjach słuch zaginął.

Niewielkie prowincjonalne miasto stworzyło w minionych wiekach, jak widzimy, kilka bogatych zbiorów bibliotecznych, które służyły przede wszystkim edukacji. Rosyjski zaborca przynajmniej dwukrotnie w dziewiętnastym stuleciu

spustoszył te zbiory – raz były to represje za powstanie styczniowe, drugi raz pod koniec wieku, bez widocznego pretekstu. Carskie władze dobrze wiedziały, że właśnie książki i biblioteki są zmaterializowaną pamięcią lokalną i uniwersalną, pamięcią narodu i społeczeństwa. Wojna z bibliotekami to wojna z pamięcią, z tożsamością narodową i obywatelską.

Rozumieli to także, niestety, hitlerowscy Niemcy. Druga wojna światowa również zrobiła swoje: okupanci zniszczyli zbiory Biblioteki Publicznej i większość księgozbioru biblioteki Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki. Całkowicie zlikwidowali cztery działające w mieście biblioteki żydowskie.

Po intelektualnym dziedzictwie miasta została taka sama pustka jak po zabudowie jego centrum.

Nauczyciele, społecznicy, urzędnicy, księża wieluńscy zdawali sobie sprawę, że biblioteki są po wojennym kataklizmie potrzebne tak samo jak piekarnie. Jako uczeń eksploatowałem bibliotekę szkolną, bibliotekę miejską i otwartą po kilku latach przy kościele Bożego Ciała bibliotekę parafialną. Przez drzwi tych wieluńskich bibliotek wchodziłem do fascynujących ogrodów literatury i historii.

### **Sulikowski, Stanisław**

Czternaście razy wzmiankowany jest Stanisław Sulikowski w *Leksykonie* profesora Olejnika. Nie ma odrębnego hasła. Nie sposób przecież opisać wszystkich. Gdyby jednak zebrać te wzmianki, powstałby materiał na całkiem spory i pouczający biogram. Przed wojną właściciel najpierw Hotelu Polskiego przy ulicy Barycz, potem Hotelu Warszawskiego przy Kaliskiej, a także popularnej w mieście cukierni, którą czule wspomina Ryszard Kmita w *Powidokach wieluńskich*. Po wojnie stworzył sobie niszę w postaci niewielkiego sklepiku z rodzaju 1001 drobiazów.

Stanisław Sulikowski był solidnym obywatelem w dawnym, pozytywistycznym sensie tego słowa, przedsiębiorcą i społecznikiem, bo mieszczańska rzetelność nakazywała czynić z tego naturalne połączenie. Poczował się zatem do zajmowania się miejscem, w którym żył i pracował. W latach 1934–1938 był ławnikiem Rady Miejskiej, od roku 1938 wiceburmistrzem. Wchodził w skład Komunalnej Kasy Oszczędności Powiatu Wieluńskiego oraz współtworzył Stowarzyszenie Dobroczynne Polska Kasa Pożyczek Bezprocentowych. Należał do zarządu Ligi Morskiej i Kolonialnej. Był wiceprezesem miejskiego oddziału Obozu Zjednoczenia Narodowego. Wchodził w skład Sejmiku Wieluńskiego. Przez jakiś czas prezesował Stowarzyszeniu Kupców Polskich, Stowarzyszeniu Rzemieślników Chrześcijan oraz Stowarzyszeniu Właścicieli Nieruchomości Miasta Wielunia.

Znałem Stanisława Sulikowskiego, był bratem mojej babci Józefy, matki mojego ojca. To między innymi Stanisław Sulikowski sprawił, że słowo mieszczañstwo, używane po drugiej wojnie światowej w funkcji obelgi, a nawet niebezpiecznego narzędzia, miało i ma dla mnie inne znaczenie, o wiele bardziej złożone.

### **Sulikowski, Antoni**

Latem 1979 roku Antoni Sulikowski, rocznik 1890, starszy brat Stanisława, oprowadzał naszą wówczas trójkę po Wieluniu, opowiadając o przeszłości kościołów, ulic i domów. Inżynier Antoni Sulikowski był lokalnym patriotą i obywatelem jak z kart *Lalki*, racjonalnym entuzjastą swojej małej ojczyzny – choć nie używano wtedy jeszcze tego pojęcia i wuj Antoni też go chyba nie znał. Wspierał ideę założenia muzeum ziemi wieluńskiej i biblioteki przy parafii Bożego Ciała. W poagustiańskim kościele parafialnym mieli z ciocią Marysią swoją niewielką, dwuosobową kolatorską ławeczkę. Do jej pulpitu przytwierdzona była mała mosiężna tabliczka z imieniem i nazwiskiem wuja. Widniała tam jeszcze w kilka lat po jego śmierci.

Antoni Sulikowski zapisał mi w testamencie swoje książki, maszynę do pisania Consul, przedwojenne biurko z pociemnianego dębu. Maszyny od lat już nie używam, ale ją zachowałem, podobnie jak książki. Biurko przez lata służyło mi na uniwersytecie, umieściłem je w gabinecie przy placu Nankiera.

Antoniego Sulikowskiego, inżyniera geodetę, zajmowała historia, starał się poznać ją jak najszczegółowiej, również w nadziei, że będzie mógł przejrzeć jej prawa, zrozumieć przeszłość i przenikliwiej zobaczyć teraźniejszość. A może nawet wybiegać uzasadnionym domysłem w przyszłość. Zgromadził sporą biblioteczkę historyczną, książki czytał uważnie, podkreślając zdania i akapity, wkładając do nich karteczki z własnymi uwagami i dopowiedzeniami, a nieraz i korektami. Nadal tkwią tam też włożone pięćdziesiąt lat temu odpowiednie wycinki prasowe. Toni sam coś próbował pisać, ale estyma dla profesji humanisty, za którego się nie uważał, nie pozwoliła mu tych własnych prac ujawniać i po jego śmierci te maszynopisy prawdopodobnie zaginęły. Bowiem w roku 1980 mieszkanie Antoniego Sulikowskiego przy ulicy Kaliskiej – wtedy jeszcze 15 Grudnia – przestało istnieć.

### **Ziemska, Janina**

Była dyrektorką Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki. Stałem się uczniem tej szkoły w 1962 roku. Profesor Ziemska uczyła mnie polskiego; jeżeli dobrze pamiętam, w pierwszej, czyli według ówczesnej nomenklatury, ósmej klasie. Później przyszedł do nas inny polonista, już nie tak sugestywny.

Profesor Ziemska była osobą dystyngowaną i bezpośrednio jednocześnie. Dyskretnie promieniowała kulturą.

Los Janiny Ziemskiej skłania mnie do gorzkiej i pesymistycznej zadumy. To los tragiczny i typowy, wręcz powszechny i beznadziejny. Nie sposób byłoby go zmieścić w niezdatnym schemacie prostackiej, ignoranckiej „dekomunizacji”. Młoda nauczycielka, społecznica i pozytywistka. Urodzona w 1913 roku, miała dwadzieścia sześć lat, kiedy jej mąż, też nauczyciel, oficer rezerwy Józef Ziemski został zmobilizowany i poszedł na wojnę. Nigdy go już nie zobaczyła, zabito go w Katyniu. Ona, dwudziestosiedmioletnia wdowa, podczas wojny pracuje w konspiracyjnej oświacie. W 1945 roku uważa, że jedynie w oświacie jest jej miejsce i powołanie. Wstępuje do PPR. W kilka lat później zostaje wicedyrektorem, a po 1956 roku dyrektorem szkoły. Bardzo dobrym dyrektorem bardzo dobrego liceum, zresztą jeszcze przez dziesięciolecie jedyne w mieście. Umiera przedwcześnie, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

Czy ktoś każe mi teraz uwierzyć, że ta młoda wdowa, której męża zamordowali bolszewicy, została przekonaną komunistką? Że gorliwie służyła Partii? Że dla Partii uczyła nas rzetelności, odpowiedzialności i kultury? Dwa lata wielunińskiego liceum pamiętam jako pobyt w szkole spokojnej, rzeczowej, z całą pewnością pielęgnującej „drobnomieszczańskie cnoty”. Cenę konformizmu płaciła za nas nasza nauczycielka, nam pozwalając wzrastać w aurze dyskretnych, ale czytelnych i budujących związków z przeszłością.

### **Sieradzka ulica**

Trzy ulice były dla mnie najważniejsze: Sieradzka, Barbary i Barycz. Ulica Sieradzka była moim pierwszym wielunińskim adresem.

Zajmowaliśmy część mieszkania w niedużej kamienicy, która należała do Żywicyńskich, czyli szwagra i siostry mojego dziadka Jana Grabowskiego, Józefy. Skromną, dwurodzinną kamienicę wybudowano w latach trzydziestych XX wieku. Była piętrowa, z jednym mieszkaniem i sklepem na parterze i jednym mieszkaniem na piętrze. Na niewielkie podwórze wjeżdżało się przez bramę w budynku, jak kamienicach dziewiętnastowiecznych. Dom ten, choć postawiony w początkowej części ulicy, był ostatni w szeregu. Za nim leżał niewielki plac, na którym później, w latach pięćdziesiątych, ulokowano stację benzynową. Dalej zaczynała się poprzeczna piaszczysta droga, prowadząca przez tak zwane łąki, i kontynuacja przerwanego szeregu domów, już niekoniecznie regularnego i nie zawsze kamienic. Tutaj śródmieście stopniowo przeobrażało się w przedmieście.

Dzisiaj ulica Sieradzka znajduje się w centrum Wielunia. Nie w samym środku miasteczka, jak Kaliska czy Rynek, ale jest przedłużeniem tej pierwszej. Kiedy

dla ruchu tranzytowego nie było jeszcze objazdu przez Błonie, jechało się tedy na Łódź i Warszawę. W sierpniowe wieczory wchodziły przez nią do miasta, wśród śpiewu, szurania tenisówek i turkotu wozów, kompanie, czyli zdążające do Częstochowy pielgrzymki. Zapadały w miasteczku na noc, by o następnym świcie ruszać dalej. Stąd pielgrzymi mieli już tylko trzy dni drogi. Sieradzką jechało się na stację kolejową Wieluń, oddaloną od centrum o kilka kilometrów. Kiedy wybieraliśmy się w podróż, zawoził nas tam dorożką zamówiony poprzedniego dnia pan Jaskólski. Kto poruszał się z mniejszym bagażem i obyty był z podróżami, wsiadał na stacji Wieluń Miasto, gdzie pociąg stał tylko chwilę, ale dokąd było bliżej, choć też poza centrum. Sieradzką jechaliśmy rowerami za stację, kąpać się w Pysznej.

Przy Sieradzkiej mieszkała spora część mojej rodziny. Na niedużym odcinku czterystu, może pięciuset metrów, znajdowało się parę domów i mieszkań, których kilkunastu lokatorów poczuwało się do rodzinnej wspólnoty. Wzrastanie w bliskości krewnych, prawie codzienne z nimi spotkania, przyjmowałem jako najbardziej naturalny, powszedni porządek życia. Dopiero później, kiedy wyjechaliśmy z Wielunia, zaczęło do mnie docierać, że obok realizują się również inne scenariusze. Nie mając w odległości mniejszej niż dwieście pięćdziesiąt kilometrów nikogo z krewnych, zawiązując na nowo związki koleżeńskie i przyjaźnie, ucząc się nowych dróg i z ciekawością przyglądając się odmiennym krajobrazom, dowiadywałem się, że żywot wędrowny, opuszczanie gniazd i zakładanie nowych, wyfruwanie z nich w porę albo i przedwcześnie, dobrowolnie, ale też nierzadko pod bezlitosną presją historii czy ekonomii, także należy do owego powszedniego porządku.

Ulica Sieradzka podobna jest do setek uliczek w wielu małych miasteczkach centralnej i wschodniej Polski. Zabudowana została z początku niewielkimi, jednopiętrowymi kamieniczkami z pierwszych dekad XX wieku. Obok bramy przejazdowej często umieszczano w nich sklep z pojedynczymi drzwiami i wystawową witryną. W miarę, jak oddalaliśmy się od centrum, kamieniczki rzędły, przetykały je coraz niższe parterowe domki murowane albo drewniane, oddzielone nieraz od siebie krótkim kawałkiem parkanu, starym krzakiem bzu, jakąś komórką. W tych domkach można też było dostrzec dawne sklepiki lub maleńkie warsztaty szewców czy krawców, od dziesięcioleci zamienione na pomieszczenia mieszkalne. Wąski chodnik ułożony z cementowych płyt oddzielał te budynki od jezdni wybrukowanej niegdyś kocimi łbami, później przeważnie pokrytej smołową polewą z wgniecionym w nią grubym żwirem. Czasem wzdłuż rynsztoku rósł jeszcze szpaler starych lip, bardzo krótko przyciętych, bo ich korony już wiele lat wcześniej przestały się mieścić w wąskiej przestrzeni między jezdnią a dachami. Powietrze pachniało starą i nowszą biedą, a nawarstwiony



przez stulecia bezsilny smutek łuszczył się wraz ze zrudziałą farbą olejną, którą na próżno próbowano go przykryć.

Ulice takie jak Sieradzka, długie, jak na rozmiary miasteczek sprzed drugiej wojny światowej, łączyły miasto z okolicą i centrum z przedmieściem. Za malejącymi i coraz nędzniej skleconymi budkami miejskiej biedoty zaczynały się wiejskie obejścia, drewniane chaty rolników otoczone obórkami i chlewikami, nieraz z wystawioną z polnego kamienia stodołą, z niedużym sadkiem z tyłu. Tak było pół wieku temu. Rozciągający się stamtąd widok na płasko rozciągnięte pola zaczęły, w latach sześćdziesiątych XX wieku, zasłaniać osiedla bloków mieszkalnych dla ludu pracującego miast, przybyłego tu wcześniej jako lud pracujący wsi. Odchodzące od rynków, podobne do siebie uliczki Polski powiatowej, prowadzą nas teraz do chaotycznie rozsypanych w ubogim otoczeniu betonowych klocków, takich samych w Wieluniu, Radomsku, Bolesławcu, Głogowie, Tarnowie, Siedlcach czy Chojnicach. Genetyczne podobieństwo miasteczek międzywojennej Rzeczypospolitej otrzymało w PRL kontynuację i wzmocnienie w postaci architektury identycznej dla wszystkich. Każdemu ten sam chleb z pasztetówką, ta sama meblościanka, każdemu ten sam krajobraz.

### **Barbary ulica**

W latach mojego dzieciństwa granatowe emaliowane tabliczki informowały, że jest to ulica Marcelego Nowotki. Jednak tej nazwy używała tylko poczta i administracja. Każda epoka ma, jak widać, takich świętych, na jakich zasługuje. Do drugiej wojny światowej ulicy patronowała św. Barbara. Po końcu PRL święta Barbara powróciła oficjalnie. Nieoficjalnie obecna była przez cały czas. Powszechnie mówiło się „na Barbary”, nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mieszkał „na Nowotki”. Ta zasada obowiązywała naturalnie i dotyczyła ulic oraz miejsc. Mama mówiła: idź do sklepu kolonialnego na Kaliską i kup kiszzonej kapusty. Szedłem z dwulitrową bańką, zwaną też kanką, na ulicę 15 Grudnia do sklepu Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Tęcza” i wracałem z kapustą, która jedyna w tych okolicznościach wciąż pozostawała sobą – nadal nazywała się kapustą i tak pachniała, że podjadałem ją już w drodze. Może nie była artykułem kolonialnym, zwłaszcza w przedwojennym pojęciu, ale w powojennym może? W PRL słowo kolonie oznaczało nie zamorskie i egzotyczne kraje, ale zorganizowane przez państwo wakacyjne wyjazdy dzieci nad morze, w góry, nad jeziora albo nad rzeczkę do sąsiedniego powiatu. Nie można wykluczyć obecności kapusty kiszzonej w jadłospisach tych kolonii.

Dom moich dziadków przy ulicy Barbary miał swoją historię, zdeteminowaną przez Historię. Jan Grabowski kupił działkę nr 43 w latach dwudziestych i zamierzał na niej „wybudować się”. Po ślubie z panną Walerią zamieszkał bo-



wiem kątem u teściów. Własnego domu nie miał. Zostawił w nim matkę, wdowę z licznym swoim młodszym rodzeństwem. Teściowie mieszkali na tej samej ulicy, po drugiej stronie, jakieś sto pięćdziesiąt metrów bliżej Nowego Rynku, obok kąpieliska Wojewódki. Ich stary dom stoi tam do tej pory.

Janek Grabowski zgromadził minimum gotówki, architekt zrobił plany, dziadek wynajął mistrza murarskiego. Postanowiono zacząć od budynku gospodarczego. W trakcie budowy majster zaproponował, że nad oborami i stajniami, murywanymi i solidnymi, zrobi piętro i niech pan Grabowski z rodziną zamieszka tam na czas dalszych prac. Usamodzieli się, wyprowadzi od teściów, będzie mu łatwiej nadzorować budowę. Tak zrobiono. Nad oborami powstały dwa pokoje, prowadziły do nich zewnętrzne, drewniane, zadaszone schody. Młodzi państwo Grabowscy mieli już tymczasowe mieszkanie. Urodziła się ich pierwsza córka, Janeczka. Potem syn. I jeszcze jedna córka. Dziadek gorliwie pracował i gromadził pieniądze na duży dom. Babcia urodziła trzecią córkę.

Wtedy Hitler i Stalin postanowili wziąć sobie Polskę. 1 września o 4:40 niemieckie bombowce zaczęły zmieniać centrum Wielunia w morze gruzów.

Już w dzieciństwie wiedziałem o tym z opowieści domowych. Jeszcze w kilkanaście lat po wojnie moi dziadkowie i rodzice nie uwolnili swoich pamięci od ciężaru tamtego doświadczenia. Często o tym rozmawiali. Znam na pamięć szczegóły ich wrześnieowej tułaczki.

Po wojnie na budowę domu nie było już kapitału, szans ani wiary. Dziadek nie mógł wrócić do przedwojennego zajęcia. Dawniej był drobnym kupcem, skupował po wsiach świnie, kontraktował je nawet i sprzedawał rzeźnikom. Był kulturalnym, miłym, przystojnym człowiekiem, solidnym w interesach i szło mu dobrze. Część dochodów ulokował w gruntach. Dzięki tej decyzji mógł znaleźć sobie miejsce na uboczu mało sympatycznej rzeczywistości powojennej. Został rolnikiem. Uprawiał pszenicę, żyto, kartofle. Miał duży sad czereśniowy przy ulicy Częstochowskiej, tam, gdzie teraz osiedle Stare Sady.

Mały, ciasny, pozbawiony wygód domek przy Barbary służył naszej rodzinie przez sześćdziesiąt lat. Sprzedaliśmy go w 1994 roku. Jesteśmy sublokatorami na tym świecie i może nie powinniśmy przywiązywać się do miejsc. Nowy właściciel wyciął resztki ogródka, wybrukował teren, pobielił stary dom, może zmienił jego funkcję, dobudował nowy. Działka zmaląła, wszystko zbanalniało. Dom przy Św. Barbary istnieje już tylko w mojej pamięci. Porzucony, ozłocony promykiem nietrwałej wieczności.

## Barycz

W *Leksykonie* czytamy, iż ulica Barycz jest jedną z najstarszych w mieście: „nazwa ta pojawiła się w źródłach pisanych po raz pierwszy w 1402 r.” (s. 30). Jako chłopiec nie uświadamiałem sobie tego, podobnie jak nie uświadamiałem sobie hi-

staryczności również innych miejsc. Ruiny pobliskiej baszty Męczarnia owszem, trochę działały na wyobraźnię, ale odczuwało się raczej dreszczyk tajemniczości i nieco zwietrzałej grozy niż milczącą obecność przeszłości. Dziecięce zabawy wśród pozostałości średniowiecznych fortyfikacji znacznie bardziej przypominają swą aurą powieści z gatunku fantasy niż historyczne eseje.

W nowej niewielkiej kamienicy z czerwonej cegły, należącej do pana K., jeszcze nie otynkowanej, mój ojciec wynajął parter. Nie wykluczam, że kamienica ta zbudowana została w miejscu, gdzie do 1939 roku stał murowany dwór, którego istnienie odnotowano w tymże 1402 roku.

Był rok 1957, oznajmiono koniec stalinizmu i pojawiła się nadzieja na normalne życie. Rodzina uwierzyła, że można będzie pracować na własny rachunek. Zaufawszy – nadmiernie, jak się miało boleśnie okazać – przemianom politycznym i tęskniąc do normalności, moi rodzice postanowili otworzyć cukiernię.

Od frontu urządzono sklep, od podwórza pracownię i spiżarnię, w piwnicy zbudowano spory piec. W sklepie ekspedientką została mama. Sprzedawała ciasta, lody, czasami parzyła kawę, bo naprzeciw bufetu ustawiono trzy stoliki z blatami z białego marmuru. Ciastka starannie układała w białych kartonowych pudełeczkach, pakowała w biały papier, przewiązywała zielonym albo czerwonym papierowym sznurkiem, wiążąc u góry dużą pętelkę. Lody były u nas pyszne. Niestety, mocno mi je reglamentowano, pod pozorem częstych angin.

Pomiędzy dziesiątym a trzynastym rokiem życia wychowywałem się w tej cukierni. Położona w połowie drogi pomiędzy szkołą a domem, stanowić zaczęła dom rzeczywisty. Na Sieradzką chodziło się wieczorem, spać. Chcąc być z rodzicami, zatrzymywałem się w cukierni. Kręciłem się po pracowni, biegałem po najbliższej okolicy, bawiłem się z rówieśnikami w parku, który był obok. Mama wracała późno, po zamknięciu sklepu, tata pracował zwykle do północy, często dłużej. Sklep czynny był w soboty i w niedziele, wtedy sprzedaż była największa. O spokojnym życiu rodzinnym nie mogło być mowy. Zresztą, w cukierni było fajnie. Przychodziło sporo ludzi, kręcili się dostawcy. Zaprzyjaźniłem się ze stałymi pracownikami. Miałem poczucie przynależności do dynamicznego zespołu.

Mając w Wieluniu jeden adres, w istocie dorastałem w trzech miejscach. Do każdego przypisane były inne podwórka, inni koledzy i może nawet nieco odmienne podejście do życia, bo najbliższe otoczenie i choćby tylko niewielkie różnice środowiskowe determinują. Ta różnorodność wczesnych doświadczeń społecznych okazała się dobrym wyposażeniem – wyjeżdżając z Wielunia w wieku szesnastu lat byłem już wstępnie przygotowany do wielokrotnej zmiany adresów, środowisk, a czasem nawet krajów.